

Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY.

No. 14.

Leszno,
dnia 3. Października 1840.



*M. Stanislaus Biezanowski, Leopoliensis Philae. Doctor, D.
Poenos Professor Collegii Minoris Senior Pater Historiograph.
Peticiarius, Aetatis 40. solū Vimentis, et defedam Visus, in
Alma Universitate Cracoviensi Utroq. Stylo Scriptor
Celeberrimus. Obiit Aetate Dni 1893. 4^{to} Idz 9bris
Aetatis suae 65 Orbitatis Verē Visus 43.*

Stan. Józef Biezanowski.

Stan. Józef Biezanowski. ¹⁾

Szanowny i uczony professor bibliografii i bibliotekarz przy książnicy jagiellońskiej, Józef Muczkowski, zajęty od lat kilku gromadzeniem troskliwem materiałów do historii, owej odwiecznej matki nauk w Polsce, zbogacił literaturę krajową ważnem dziełem, wyszłem niedawno w Krakowie u J. Czecha, noszącem napis: *Rękopisma Marcina Radymińskiego, opisał i wiadomość o historyografach szkoły jagiellońskiej skreślił J. M.*

W dziełku tém przedwstępnem do dziejów akademii krakowskiej, opisuje i ocenia uczony autor krytycznie prace M. Radymińskiego, o których, z zapomnienia je wydobywszy, J. Sołtykiewicz pierwszy w dziele swoim: *O stanie akademii krakowskiej*, niedokładne tylko dał wyobrażenie, a J. S. Bandtkie nikczemną ramotą, druku niewartą, nazwał: aby niemający sposobności rozpatrzenia się wsamych rękopismach, już nie za cudzém zdaniem, ale z poznanej ich osnowy, o ich zaletach bezstronnie mógł wyrokować.

W drugiej niejako części dziełka, przebiega historyografów akademii, wkońcu dodaje wiadomość o pieczęciach uniwersytetu jagiellońskiego.

„Najdawniejszą wzmiankę o pisaniu dziejów uniwersytetu naszego,“ pisze autor, „czytamy w Radymińskiego rocznikach pod r. 1612., kiedy akademii, podziękowawszy Abrahamowi Bzowskiemu, iż wiadomość o jej początku, wzroście i zasługach w swoich dziełach kościelnych chciał umieścić, professorom Szymonowi Halickiemu i Janowi Rybkowiczowi zebranie potrzebnych do tego materiałów polecił. W 13 lat potem, t. j. r. 1625., Jan Brosciusz zamyslał skreślić dzieje tej starożytnej szkoły. Odtąd niemasz śladu, żeby tak przed Radymińskim, jak i po nim, którykolwiek z akademików poświęcał się wyłącznemu spisywaniu dziejów swego naukowego zgromadzenia. Zaprowadzenie w roku 1621. historyografa przy uniwersytecie, którego Seb. Petrycy uczynionym przez siebie funduszem wyposażył, było, jak się zdaje przyczyną, iż ze względu na jego zatrudnienie, inni, jedynie swém powołaniem zajęci, kreślenie wydarzeń w tej starożytnej szkole, jemu zostawili. Jakoż w niektórych rękopismach, dzieje ówczesne wedle postanowienia fundatora kreślących, znajdujemy tu i owdzie, lubo nie liczne i ogół nie dosyć wyświecające szczegóły, do ówczesnego akademii stanu odnoszące się.“

Przytoczywszy autor, dla dokładniejszego wystawienia rzeczy, rozprządzenia fundatora, przez biskupa Szyszkowskiego d. 13. Grud. 1621. za-

twierdzone, wylicza jako historyografów: Petrycego Jana Inocentego, Cynerskiego Rachtamowicza Jana, Temberskiego Stanisława, Rackiego Jana, Biezanowskiego Józefa Stanisława, Oślińskiego Marcina, Waleszyńskiego Marcina, Sarneckiego Jakuba, Kalewskiego Franciszka, Fedorowicza Macieja, Popiołka Józefa, Biegacewicza Wojciecha, Sleszkowskiego Jędrzeja i Niegowieckiego Jakuba, kończącego (r. 1780) poczet dawnych dziejopisów uniwersytetu, przez Petrycego ustanowionych. Oprócz pism trzech dawniejszych historyografów, t. j.: J. J. Petrycego, Temberskiego i Biezanowskiego, wszystkie inne zaginęły; a nawet niewiadomo, czyli niektórzy z nich co pisali: bo lubo tu i owdzie znajduje się w postanowieniach kapituły Ś. Anny wzmianka o delegowanych do odczytania pracy historyografów; nie zawsze jednak, jak się pokazuje, poleceniu temu zadosyć czyniono, a przynajmniej nie zawsze ślad tego waktach zachowano: a tak niemasz dowodu, czyli mianowani dziejopisowie wiernie swych obowiązków dopełniali.

Dla dopełnienia niedokładnych wiadomości, jakie o naszym J. St. Biezanowskim bibliografowie podali, przywodzi szanowny autor niektóre szczegóły o życiu i naukowych pracach tego znakomitego męża, którego niedola wznających go politowanie, a umysł w nieszczęściu stateczny i tylko w religii, poświęceniu się dla dobra swych bliźnich, tudzież w nieprzerwanej pracy, ulgi w kalectwie i pociechy szukający, powszechny podziw i uwielbienie współczesnych wzbudzał.

„J. St. Biezanowski urodził się r. 1628. we Lwowie, ojczyźnie Leopolitów, Symonidesów, Zimorowiczów, Alnpechów, Ursynów, Birkowskich i tylu innych znakomych mężów, którzy niegdyś z zaszczytem dla nauk pracując, przez swą sławę, imię rodzinnego miasta i za granicą głośnem uczynili. Odebrawszy początkowe wychowanie wtamtejszych szkołach, naówczas pod kierunkiem akademików krakowskich będących, udał się z synem Marcina Kalinowskiego, wojewody czernichowskiego, hetmana poln. koronn. do Krakowa, gdzie się przez lat kilka filozofii, matematyce, szczególnież zaś wymowie i poezji poświęcał pod Cynerskim, fundacyi Tylickiego, ówczesnym wymowy professorem, (orator Tylicianus). Wielkie objęcie, bystry dowcip, nadzwyczajna pilność, wprawiały w podziwienie czcigodnego nauczyciela, i poły duszę tą niewymowną pociechą, jakiej doznaje pracowity rolnik, widząc, iż przezeń zasiane ziarno w żyzne kłosa wystrzeliło.“

Nie samój atoli poezji oddawał się nasz Biezanowski. Obdarzony szczęśliwą pamięcią i z zapałem naukom poświęcający się, przez wytrwałość swoją tak dalece w nich postąpił, iż mu powszechnie niepospolitą biegłość wge-

(1) Wizerunek męża tego jest wierną kopią obrazu jego, w książnicy uniwersytetu jagiellońskiego zawieszanego.

ografii, historii, matematyce, filozofii i astronomii przyznawano. W osmnastej życia swojego wiosnie, kiedy w młodości skłonność do przyszłego powołania zaledwie budzić się poczyną, on całkiem dla nauk żyjący, nie tylko, że już pierwszy stopień akademicki otrzymał (1646), ale nawet, wydawszy cztery chwalniki, wcześniej objawił swą skłonność do zatrudnień piśmiennych, które tyle pociechy i zaszczytu kiedyś zjednać mu miały.

Piękne przymioty duszy Biezanowskiego, dawały tym zaletom ujmującego wdzięku, przez który swych rówieśników serca do siebie przyciągał, a nauczycieli wysokie poważenie i szczególną miłość pozyskał. Dowodem tego przyjaźń, którą go zaszczycał Cynerski przez cały ciąg życia swego. Ta przychylność zacnego nauczyciela do swego ucznia, i to uczucie wdzięczności, które ten z zbolełego serca wylewa po dotkliwej stracie swego ukochanego nauk przewodnika, czytającego uwielbieniem dla obu dwóch napelniają. Któż bowiem bez rozrzewnienia czytać może Biezanowskiego, kiedy ten wspomniawszy, co Cynerski tak dla cierpiącej ludzkości, jak i dla ubogiej do nauk garnącej się młodzieży, zwykł był czynić, z szczerością malującą szlachetną i wdzięczną duszę, dodaje: „Od lat dwudziestu, jak do niego przylgnąłem, ileżtokrotnie i jak wielkimi dobrodziejstwami mi nie obyspał? szczerobliwość ta godna jest nader biegłego pióra i wymowniejszego nademnie pisarza. Wszakże, że nie wspomnę tyle innych łask, moje pióro, nigdy by dla braku funduszu na ich ogłoszenie na świat były nie wyszły, gdyby on ich własnym kosztem nie był upowszechnił; lubo częstokroć nie małą złąd ponosił stratę, kiedy osoby, którym je poświęcałem, brudnym skąpstwem olśnione, i nadzieję moję i naukowe ślęczenie, dotkliwie zawodziły. A kiedym mu, wyniesionemu na dostojność kanonika katedralnego krakowskiego, życzenia moje składał; natenaz, widząc podszarpane szaty moje, nie pomny na swój niedostatek, sutannę futrem podbitą z siebie zdjawszy, na wzbraniającego się gwałtem włożył, i żadnymi prośbami do odebrania jej skłonić się nie dał. Słowem, przez cały czas moję ślepoty, nie dobrodziejem, ale najlepszym był on mi ojcem; bo zawsze więcej dbał o to, jakby cudzemu niedostatkowi zaradzić, niż własne zaspokoić potrzeby.

Namiętne w naukach zatapianie się, nocne nad księgami ślęczenie, ciągle rozmyślanie, i siły jego znacznie wycieńczyły i wzrok tak dalece osłabiły, że już w dwudziestym drugim roku życia zupełnie ociemniał. Lubo Jan Podgurski w swęj *Sacra laureatorum cordium pyra*, tudzież Marcin Bielicki w *Cordolium*, chwalnikach stylem nakamiennym ku czci zmarłego Biezanowskiego skreślonych, nadmieniwszy, iż z pracy i ciągłego po nocach przesiadywania

wzrok utracił, czasu tego kalectwa nie naznaczają; z tém wszystkiem ze wspomnienia przez niego samego w dziełku: *Oraculum Parthenium Virginis Deiparae*, r. 1668. pierwszy raz wydanem, z *Immaculatum Virginis Deiparae liellum*, roku 1675. ogłoszonego, tudzież z napisu na jego obrazie, w bibliotece uniwersyteckiej zawieszonym (2), dowodnie przekonać się można, iż w roku 1650. zupełnie wzrok utracił. Tak ciężkie kalectwo nie przerwało nieszczęśliwemu Biezanowskiemu naukowych zatrudnień, ale skłonność jego skierowało ku poezji, którą wieszcz ożywiony natchnieniem, sam w sobie wyrabia, z siebie wysnuwa, i nią w swym świecie duchowym szczęśliwie żyje. Religia, ta najbezpieczniejsza przystań podczas czarnej burzy, łódkę życia naszego po morzu nieszczęśliwie miotającej, natchnęła jego pobożną duszę uczuciami, z jakimi, szczególniej chwałą Boga Rodzicy w *Oraculum* (3) tak szczęśliwie opiewał, iż poświęcone sobie te poezye, papież Klemens IX., przyjął z uwielbieniem rymotwórcy talentu.

Rzadka łagodność charakteru i dobroć serca, dla których nikogo, najmniejszemu nawet słówkiem, nigdy nie obraził, jednały mu u wszystkich życzliwość i przyjaźń, które nasz Biezanowski wzajemnością odpłacał. Te niezliczone pisma, co na cześć wywyższenia różnych osób, wśród których i z którymi żył Biezanowski, pisane, to zgon zasłużonych akademików i innych znakomitych wkraju mężów oplakujące, obfitości jego pióra, niezmordowanej pracy, rozległej nauki, oraz szlachetnych uczuć jego serca zaszczytnym są dowodem. Przez nie to nabył on tak wielkiey u wszystkich wziętości, i tak wielkiego poważania, iż nawet dowódzcy szwedzcy, przez czas blisko dwuletniego zajęcia Krakowa, najmniejszej przykrości uczynić mu nie dopuścili (4); a uniesieni uwielbieniem dla niego,

(2) M. Stanislaus Josephus Biezanowski, leopolensis, phiae doctor, poeseos professor, collegii minoris senior pater, historiographus Petricianus; annis 40. sola vi mentis ob defectum visus in alma universitate Cracoviensi utroque stylo scriptor celeberrimus. Obiit anno domini 1693, 4to. Idus 9bris, aetatis suae 65, orbitatis vero visus 43tio.

(3) Wukładzie tęg poezji wziął sobie Biezanowski za wzór Jana Bap. Agnese, z Calvi na wyspie Korsyce urodzonego, który pozbawiony wzroku, szczęśliwie pisał anagrammata. Ten z wyrazów *Ave Maria, gratia plena, dominus tecum*, sto anagrammatów ułożył; Biezanowski zaś podobnym jak i Agnese kalectwem dotknięty, z osnowy jego stu anagrammatów, tyleż epigramatów napisał.

(4) *Praefectus contubernii Starnigeliani, Würtzio mandante, non hostes sed hospites expertus Suecos.* Podgurski *Sacra laureatorum cordium pyra*. Z okoliczności wspomnienia o ludzkiem obejściu się Szwedów z nieszczęśliwym Biezanowskim, wypada przytoczyć tu niektóre szczegóły odnoszące się do podania o złupieniu przez nich biblioteki uniwersyteckiej. Sołtykowiec w dziele o stanie akad. krak. w ciągu przypisu wykazującego, jak wielkie Radymiński w czasie bawienia Szwedów w Krakowie w uniwersytecie położył zasługi,

obietnicą wielkiej nagrody do swęj ojczyzny zwabić go usiłowali.

W roku 1655., a zatem już od lat pięciu wzroku pozbawiony Biezanowski, idąc śladem poprzedników, otrzymał stopień filozofii doktora,

na str. 505. dodaje: „Nie powiodło się atoli Radyńskiemu, ochronić od znacznych szkód bibliotekę swemu dozorowi naówczas zostawioną, w której Szwedzi porządzili się prawem zdobywców i wielką liczbę ksiąg w rękopismach interesujących, jakoteż i w drukowanych dziełach dość rzadkich zabrali, katalogu nawet zagarnionej tęg szacownęj zdobyczy nie zostawiwszy. Złósć Michała (powinno być Mikołaja) Sulikowskiego, barwa gorliwości o rzecz publiczną pokryta, chciała z tego zrobić zbrodnią Radyńskiemu.“ Na zasadzie tego podania, ks. hr. Sierakowski, k. k. k., były rektor uniwersytetu, w sali jagiellońskięj swym kosztem odnowionęj, dla różnych względów nie chcąc, jak mu radzono, nade drzwiami tęg sali kazać umieścić zdarzenia z r. 1589. przez Soltykowicza l. c. na str. 400. opisanego, złupienie przez Szwedów biblioteki uniwersyteckięj w tęg miejscu kazał odmalować. Ze podanie Soltykowicza jest mylne, a tęg samęm, że obraz przedstawia to, co się weale nie zdarzyło, o tęg przekonywają nas niżej przywiedzione okoliczności.

Kiedy po wyjeździe z Krakowa króla Karola Gustawa, kommissarze szwedzcy, na duchownych kontrybucyą nałożywszy, i akademią do tęg opłaty pociągnęli, lubo ta poprzednio, to jest w czasie bawienia króla w Krakowie, na liście daniny umieszczoną nie była, ubodzy i ledwie na wyżywienie swoje wystarczyć mogący profesorowie, z grona swego Stanisława Zyznowskiego i Krzysztofa Stellanowicza wyprawili w poselstwie do króla szwedzkiego w Prusiech bawiącego; sami zaś u jenerała Württemberg, za pośrednictwem jego kapelana Macieja Taberta, greifswaldzięj akademii profesora, tudzież głównego lekarza Franciszka Chemnitz, ludzi naukowych, a tęg samęm akademii przychylnych, ten cios od siebie odwrócić usiłowali. Dla większego zaś zobowiązania życzliwych pośredników, ofiarowali im kilka dzieł z biblioteki, o które ci, w tak krytycznem położeniu nie mogących odmówić profesorów, upraszali. Srodek ten był skuteczny. Kiedy bowiem wysłani do króla profesorowie, dla wielkich niebezpieczeństw, celu swęj podróży dopiąć nie mogli, a tak, nie nie zrobiwszy, do domu wrócili, Württemberg, skłoniony wstawiających się prośbami, akademią od daniny uwolnił. Tak okoliczność tę opisuje Radyński, któremu to zobowiązanie pośredników, po wyjeździe Szwedów z Krakowa, wiele przykrości sprawiło. On jeden z grona nauczycieli po niemiecku mówiący, i dla tego w Krakowie w czasie wyjęcia akademików przez Szwedów zostawiony, dla łatwości rozmawiania się, w bliższych z nimi zostawał stosunkach, a z Tabertem i Chemnitzem w pewnęj był zażyłości. Po przywróceniu dawnego rzeczy porządku, Mikołaj Sulikowski, prywatną niechęcią powodowany, w r. 1659. między innemi oskarżył Radyńskiego przed władzą uniwersytecką, że książki z biblioteki Szwedom powydawał. Tę okoliczność wypacyzwszy Soltykowicz, mylnie podaje, jakoby Szwedzi bibliotekę uniwersytecką z wielu ksiąg i rękopismów ogolęli. Sam zarzut przez Sulikowskiego najniesprawiedliwiej Radyńskiemu uczyniony, jużby dostatecznym był dowodem, że się Szwedzi w bibliotecę prawem zdobywców nie porządzili; bo gdyby książki gwałtem zabrano, toby przeciwnik nie śmiał Radyńskiego obwiniać o to, że się siłę nie oparł. Ale są jeszcze inne okoliczności, które podanie Soltykowicza zbijają. Wszakże sam Radyński, w tęg części historyi najobszerniejszy, nigdzie o złupieniu biblioteki nie wspomina, a Stanisław Temberski, opisując zdarzenia w czasie pobytu Szwedów w Krakowie, o pokrzywdze-

a z nim nabył prawa ubiegania się o posadę zwyczajnego w uniwersytecie profesora. Ale mimo tyloletnięj pracy, mimo tak wielkiego usposobienia, wśród znacznej liczby ubiegających się, zwłaszcza w owych czasach, kiedy z ujmą dla dobra nauk, według starszeństwa w służbie, bez względu na zdolności, na wyższe miejsca nauczycielskie posuwano, trudno było Biezanowskiemu stanąć u kresu swych najgorętszych życzeń. Dopiero w jedenaście lat po uzyskaniu tęg najwyższego naukowego zaszczytu, bo w r. 1666. w poczet kolegów mniejszych policzony i zwyczajnym professorem rymotwórstwa mianowany, mimo ciężkiego kalectwa, aż do zgonu piastował ten urząd z wielką dla siebie chwałą i niemалym uczących się pożytkiem. Umarł r. 1693., d. 10. Listopada.

Jak okwitem było Biezanowskiego pióro, dowodem są jego liczne chwalniki, prozą, najwięcej stylem nakamiennym po łacinie lub wierszem polskim pisane, do których przydać należy umieszczone w Radyńskiego rocznikach pochwały królów, kanclerzy i rektorów uniwersytetu jagiellońskiego, z których pierwsze ośm, drugie siedmnaście, a trzecie sześćdziesiąt i dwie kart arkuszyowych obejmują. Wszakże Jabłonowski in *Museo Polono* w r. 1752. w 4ce we Lwowie ogłoszonęj, twierdzi, iż Biezanowski wydał 150 chwalników. Biblioteka uniwersytetu jagiellońskiego posiada z nich 126 w łacińskim, a 10 w polskim języku. Ta jego łatwość pisania wierszy, częstokroć z okoliczności, które nawet na prozaiczne wspomnienie nie zasługiwały, i powszechnie przyznawane mu wielkie usposobienie nauczycielskie, były pochopem, iż go spółcześni, obyczajem średnich wieków, ojcem talentów (*bonorum ingeniorum pater*) nazywali.

Ale trwałszym, bo rzetelniejszęj zasługi jego, pomnikiem, będą wspomniane roczniki z fundacyi Petrycego, do których pisania wziął się już w podeszłym wieku, bo w sześćdziesiątym roku życia swego. Co go do tęg pracy skłoniło, o tęg już wyżej powiedzieliśmy. Dzieło to wiele ważnych szczegółów obejmujące, zasługuje, żeby było upowszechnione, równie jak i wiele innych ksiąg dziejów krajo-

niu przez nich biblioteki najmniejszęj nie czyni wzmianki, lubo pod r. 1655. wyraźnie pisze, iż „akademicy pewnemu konsyliarzowi króla szwedzkiego niechętnie dali z biblioteki cztery tomy atlasu, ale reszta jest nie tknięta. Wreszcie, kiedy w r. 1657, po ustąpieniu Szwedów d. 20. Sierpnia, zostawieni do czuwania nad gmachami akademickimi profesorowie, w podanęj przez siebie prośbie do delegowanych kommissarzy królewskich, użalając się na szkody w kollegium władysławskiem, bursie Jeruzalem i filozofów, przez majora Mehla, w służbie szwedzkieję zostającego Gdańszczanina, poczynione, oraz, by na mocy układów o wynagrodzenie dopominano się, upraszając, nie czynią żadnęj wzmianki o zabraniu ksiąg z biblioteki; przekonywamy się zatem, iż ta najmniejszego pokrzywdzenia od Szwedów nie doznała.



Szczątki niedawno odkrytej złotej bramy w Kijowie.

wych przez rodaków w języku łacińskim pisanych. A kiedy takie przedsięwzięcia tylko przez połączone siły przyjaciół dziejów ojczystych do skutku mogą być przywiedzione; życzyłyby zatem należało, żeby towarzystwa naukowe, wsparte pomocą uczonych i gorliwych historyi miłośników, w ogłaszaniu tych drogich pamiątek przeszłości, swęj chluby i zasługi szukać chciały. W tychto rocznikach Bieżanowski opisując wspaniały wjazd do Rzymu księcia Michała Kaźmierza Radziwiła, który od króla Jana Sobieskiego, szwagra swego, do Innocentego XI., papieża, tudzież do cesarza Leopolda i Rzeczypospolitej weneckiej, w roku 1681., dla uzyskania wsparcia na wojnę turecką, był w poselstwie wyprawiony, dodaje: iż na domiar przepychu, prowadzono kilka najpiękniejszych tureckich koni od złota i drogich kamieni błyszczących, które, podobnie jak i inne, złotem i podkowami naumyślnie słabo były podkute, ażeby te z łatwością odpadły. Ta wiadomość objaśnia wzmiankę Krasickiego, wsadyrce Marnotrawca, gdzie mówi:

*Tak ów, co po jałmużnę niegdyś do Włoch spieszył,
Złoto rzucił, nie nie wziął, a dumą rozśmieszył.*

Na widok niedawno odkrytych szczątków
złotej bramy w Kijowie.

*Witam cię, złota bramo, pomniku przeszłości,
Złotęj nosiłaś nazwę, w czasach twojej sławy.
Na tobie, Herkulanum sławiańskiej świetności,
Miecze swoje szczerbili polskie Bolesławy.
Złotą bramą nasz Chrobry do Kijowa wkraczał,
W złotęj bramie mu miasto hold i klucz oddało,
W niej wiarotomnym Śmiały następnie prze-
baczał,*

*Zwycięzkie serce łaską, za bunt karato.
Przetrwałaś różne czasy, różne losów zmiany,
Twoje dzieje historią całego narodu,
Przetrwałaś różne ludy, różne miasta pany,
Szczątki twoje, pomnikiem kijowskiego grodu.
Złotą zginęła świetność sławiańskiej stolicy,
Zapomniana, dziś wstajesz ze ziemnego łoża,
Znów żyć zaczynasz, w pieśni, pod rylcem
dziewicy,*

*Wznosząc błagalne dłonie, gdzieś w niebios
przestworza.*

*Z cześcią się polski pielgrzym do twych szcząt-
ków zbliża,*

*Z twęj przeszłości Sławianin, przyszłość swoją
czyta,*

*Każdy przed tobą, kornie czoło swe unia,
A z twych gruzów, nadziei bujny kwiat za-
kwita!*

Kijów 1839.

K. M.

Kłątwa.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Słońce miało się ku zachodowi, cisza i pokój panowały w naturze, właśnie najmiłsza pora do przechadzki: wybiegłem więc w pole z towarzyszem nieco starszym odemnie. Radowały nas obfite plony, które prace rolników hojnie nadgrodzić miały; piękna to pora żniwo dla wieśniaków, wesoło kończą sieć pole pszenicy, a my wdzięcznym uchem słuchamy, kiedy niekiedy dolatującej nas piosnki przodownika. Jak wiele poezyi zawierają pieśni ludu, o tém wszczęła się między nami rozmowa: pomału ścieżka zawiadła nas mimowolnie w dębowy las; słońce innym ludom przyświecać poszło, a nad nami ukazała się biała twarz księżycy, wyzierająca wśród dębowych liści, jak uwienczone czoło poległego bohatera. Księżyc, wieczorna doba wśród gaju, tok rozmowy, naprowadziły nas na różne podania, o duchach, kłątwach, co obok pieśni ludu, tło miejscowej poezyi tworzą. Towarzysz mój wspominał mi kilka podań, o których kiedyś zasłyszał, wreszcie opowiedział mi zdarzenie prawdziwe w znakomitym rodzie polskim, którego prawnicy dziś żyją. Ja wiernie powtarzam słowa opowiadającego.

Jeszcze nie minęło stolecie, jak żyła w...., podeszła wiekiem dama, wdowa po, od śmierci męża samotne pędziła życie; wrodzonej dumy, nie wykazywała wystawnością: wszystkie nadzieje szczęścia i chwały, złożyła na syna jedynaka, który dopiero zlat młodzieńcych wychodził. Syn odpłacał czułą wdzięcznością za miłość matczyną, rzadko się wydalał z rodzinnego domu. Każdą chwilę starał się uprzyjemnić staruszce, a ona cała żyła w przyszłości, codzień kabała, jedyne wieczorne zatrudnienie, wykrywała jęj jakąś nową, świetną gwiazdę, wpasmie przyszłego życia młodzieńca.

Tak im zbiegały spokojnie dni, miesiące, aż wreszcie młodzieniec otrzymał zaprosiny na ucztę do jakiegoś możnego pana; matka radziła je przyjąć: pojechał, bawił dni kilka. Minęły dnie zabawy, wraca do matki, ale już nie ten sam, jakaś niespokojność maluje się na czołe jego, mury dworca nie wystarczają duszy jego, biega po polach, lasach, w końcu zaczął się często z domu wydalać; matka niesprzeciwiała się temu, ale i jęj się humor zaczął psuć od niejakiego czasu, bo kabała, co synowi wojewodzanek za żonę przeznaczyć miała, żadnym sposobem wyjść nie chciała. Stara zaczęła mieć podejrzenie, kazała śledzić kroki syna; wkrótce dowiedziała się, że młodzieniec bawi częstemi pobytami w domu biednego szlachcica, sąsiada, ojca jedynaczki córki. Wiadomość ta nie była jęj przyjemną, ale nie troszczyła się wielce, polegając na zasadach dumy rodowej, co w serce syna wszczepiła.

Do Dnia jednego wraca młodzieniec wieczorem do rodzinnego domu, po kilkunastu dniach niebytności: jakieś cierpienie młota jego duszę; usiłuje je pokryć, ale matka to spostrzega, zapytuje o przyczynę; młodzieniec wyjawia swą miłość do córki biednego sąsiada. Matka jakby gromem rażona, stara się odwieść syna od zgubnego podług niej zamiaru, przywodzi szybkimi słowami rozmaite przeszkody, różnice rodu i majątku; syn przy swoim obstaje z pokorą, lecz z stałością; matka coraz szybciej i słabiej wymawia jakieś okropne słowa ... pojednanie ... nagła śmierć ... psy ... związków ująć trudno, wreszcie pada na ziemię, służebne niewiasty unoszą ją zemdloną: syn opuszcza komnatę, kroki jego niesforne okazują, że rozpacz niemi kieruje.

Stary kredencierz miał przechodząc słyszeć całą rozmowę, ale błąd na samo wspomnienie, czasem tylko o jakiejś kłatwie w gronie służebnych przebąknął, ale nikt się całej rzeczy od niego wywiedzieć nie mógł. Stara pani powróciła do zdrowia, smutno i głucho w jej dworze, syn zdaje się na zawsze go opuścić, wieść tylko doszła, że gdzieś w zaciszu dni szczęśliwie pędzi z żoną wyboru serca swego, o ile mu ich pamięć matki nie zatruwa.

Dużo czasu ubiegło, aż jednego ranka zarentniały podkowy po zarosłym dziedzińcu głuchej wioski, opuszczonej matki; posłaniec skoczył z konia, wszedł do komnaty, oddał jakieś pismo, tysiąc uczuć i namietności przebiegło po zmarszczonych licach, wiekiem i zgryzotą przynębionej staruszki. Każe co prędzej wracać posłanicowi, i donieść, że pojutrze stanie u syna. Niezwykły ruch i życie napełniają mury jej dworca, krzątają się stare sługi, gotują do podróży, zaciągają przed dom zapyłone konie, zakładają sześć koni: stara z dziwnym wsiada pośpiechem. Konie nie chcą z miejsca ruszyć, niezwykle podróży; stara każe je naglić, stangret zaczyna — ruszyły.

W domu syna wielkie krzątanie, bo syn się narodził, a posłaniec doniósł, że matka przybędzie; wszystkich lica jaśnieją wesołością i szczęściem, gotują komnaty, rozbiegają się posłańce, spraszając w goście sąsiady: ucztą dwójka, na przyjęcie matki i chrzciny nowonarodzonego.

Nadeszło to tak długo i gorąco oczekiwane jutro, — wszystko w godową przybrane szatę, — co chwila zajędzie sześć — lub czterokonna kolasa, a z niej wysunie się najprzód rogówka, potem zaświeci podgolona głowa, karabela zabrzęknie, a państwo domu przyjmują w progu, hajdacy wprowadzają do komnat.

Już się zebrała cała okolica, przybiega konny, donosi, że matka już do wsi wjeżdża; syn z kielichem wręku, synowa z dzieciną czekają w progu, a goszczących grono otacza ich.

Zajeżdża kolasa, wysiada rzeźko zgrzybiała

matka, bo za młodość starczy szczęście z oglądania dzieci i wnuka. Porywa w swe objęcia drobną dziecinę; nadzieja, jak spadająca gwiazda, przesunęła się po czołach rodziny. Syn chce spełnić kielich na pojednanie z matką, szkło dziki dźwięk wydaje, kielich rozpryskuje się w kawałki w jego dłoni, dziecko boleśnie zakwiliło, błądź pokryła lica obecnych; porywa drugi kielich, ale i ten z dźwiękiem pęka, matka pada na ziemię, przybiegają — podnoszą — nieżywa! —

Okropna cisza, zdumienie, boleść zajęły miejsce przedchwilowej radości. Syn, jakby dręczony jakąś obawą, porywa ciało matki, do górnych unosi komnat, zamykać i pilnować nakazuje. Zamiast uczy, nastąpił pogrzeb; smutny i dziwny przypadek dużo zebrał osób. Przed dworem czarny wóz, zaprzężony karemi końmi, mnóstwo światła, księża w kapach i komzach, chóry mnichów zaczynają już przed wozem śpiew ponury, przewodniczący człowiekowi do ostatniego ustronia, którego mu ziemia użycza; wychodzi błądź, czarno przybrany syn zmarłej, a słudzy wynoszą bogatą trumnę, wstawiają na wóz, — ruszyli wolnymi krokami.

Okropny krzyk wstrzymuje pochód; trumna spadła z wozu, wieko odpada, trup wylatuje; dwa brytany przyskakują i rozrywają zczerniałe policzki zmarłej; — syn wydziera im zdobycz, wkłada nazad do trumny nieszczęsną matkę, — pada bez zmysłów, — odnoszą go do domu. — Trumnę włożyli znów na wóz, wiozą dalej, ale śpiewu nie słyszał, bo tak okropny wypadek zaniemił wszystkich. — Przybyli na cmentarz, wpuścili ciało do grobu, ksiądz pobłogosławił, rzucano ziemię na trumnę, głęboko schowały się zwłoki srogo ukaranej dumnej niewiasty. Stary kredencierz, wracając z cmentarza, powtórzył wieczny odpoczynek, opowiadając, że sprawdziła się kłątwa, którą na siebie rzuciła stara, na przypadek, gdyby się kiedy z synem pojednać miała. Syn po długiej gorączkowej chorobie odwiedził grób matki wraz z żoną i dzieciną, — długo się modlili. Oby ich łyzy otworzyły jej drogę do przebaczenia Pańskiego! —

K. M.

Teatr starożytny w Polsce, za panowania Władysława IV.

Przez Wł. R. Wojcieckiego.

(Od roku 1632. do 1648.)

(Dalszy ciąg.)

W dyalogu „Guslarze“ wyszydzonemi są zabobony, gusła, zażegnania i zamawiania. Przeprowadzają do gusłarki Frączka, opowiadają jej rodzaj niemocy chorego; ta rozkazuje mu się położyć na słomie na krzyż złożonej, i po różnych dziwacznych krzywienniach, tak śpiewa:

Szczęśliwa ta matka była,
Co tego Frączka rodziła.

Poszedł ci był miły Krzysztofor,
 Wziąwszy siekiere i topor:
 Napotkała go osoba,
 I pytała się w te słowa:
 „Dokąd idziesz, Krzysztoforze,
 A cóż ci potem toporze?”
 A to idę do Frączka,
 Którego trapi gorączka.
 Ratuj go we wszystkich mocy,
 Aż zaraz z niego wyskoczy!
 Niech to boleśnie
 Wypadnie w golenie!
 Z golenia, w pięty,
 Daj to, Panie święty!
 A jeżeli urok,
 Niech wypadnie za rok,
 A jeżeli gościć, (1)
 Niech uleci w paznogieć,
 A z paznogiecia w ziemię
 Na trzy sążenie! (sążnie)
 Wmieć ojca i syna i ducha świętego!
 Niech nie trapi wszystko Frączka chorego!

Tu zza opony wychodzi starosta, i gromi ową guslarke w długiej przemowie, pokazując czczość i niegodziwość zabobonów. Nareszcie odprawia się sąd na czarownicę, i wyrokuje zwykłą próbę pławienia. Guslarke przyznaje się, że tej formuły zażegnania, nauczyła ją babka, która ją także od przodków swoich umiała. Bakałarz powtarza nauki dawane w kościele o ślepocie wierzących w gusła, wylicza wszystkie rodzaje bredni podobnych, oraz przekonywa starostę, że czary i gusła są tylko wurojeniu ludzkiemu, że podobne doświadczenia obrażają Boga, i przeciwne są rozumowi, bo ten z siebie jest mocnym dowieść próżności zabobonów. Zbija wszystkie zarzuty, które starosta czyni, przywołuje Pismo święte, różne przypadki i skutki czarów; kończy tę utarczkę przywiedzeniem zdania świętego Augustyna i innych nauczycieli kościoła. To dowodzi, że wszystkie te gusła w on czas były, które po dziś dzień u ludu trwają, a oraz, że i wtedy odzywał się głos rozumu, który silniej przez teatralne widowiska działał, niż piśmienne teologów harce.

Komedia „*Albertus rotmistrz*” wystawia Alberta dowodzącego rotą żaków. Każdy akt winnym mieście. W drugim obozuje Albert w Lagowie, wyprawia drabów w podjazd do mnichów świętokrzyżskich, (2) szczególniejsze dając im rozkazy, w których dostatecznie wystawia ówczesną swawolę żołnierską. Każę malować na chorągwi beczkę i kufel, opowiada różne potrzeby, w których będąc obecny, jadł, pił i krwawą pracę chłopom wydzierał, bo żołnierzowi wszystko wolno w nagrodę ofiary życia, które wystawia za ojczyznę. Jest to prosta, ale dokładna satyra rozwoźności piechoty, czyli drabów, jak ich w on czas nazywano.

Komedia „*Pielgrzym i pątnica*” jest krytyką obłudnego nabożeństwa, nagannęj włóczęgi

i oszustwa, łatwowierności wieśniaków. Trzeba się nawet dziwić, że w owych czasach mógł być wystawionym ławnik i burmistrz przetrząsający kobiałkę pątnicy (pielgrzymki), i sztydzący z mniemanych relikwii i urojonych świętości. Ławnik zatrzymuje pielgrzymą i pyta:

„Cóż ty zacz? i z kądżeś teraz przywędrował?
 Gdzieś się rodził? gdzie bywał? i kiedyś się chował?
 Jeśliś w zapowietrzonem mieście nie był kiedy,
 Bo teraz po świecie niebezpieczno wszędzie.”

Pielgrzym.

„O! prawie niebezpieczno, by też kiedy było;
 Prawda, że się już bardzo tak zapowietrzyło,
 Niemasz się gdzie przewietrzyć, wszędzie zamykają,
 Nie tylko gdzie rwą, ale gdzie nie radzi dają.”

Pątnica, że przedawała kamienie urażne poświęcone (racze oczy) i jerozolimskie palmy, skaraną była do kuny kościelnej na trzy dni, i na chłostę cielesną. Tu także jest obraz szarlatanstwa, którego pełno było w Polsce w rozpowszechnionym pątnictwie, czyli pielgrzymstwie. (3)

Zaki w Warszawie, pamięć Bachusa odżył wiał wesołym dyalogiem, który miał więcej sensu, nad jezuickie koncepta, bo Jezuici nie ustawiali przedstawień swoich po szkołach i przy uroczystościach. Dyalogu tego napis: „*Bachus orbis dominus, ipse bachanaliorum feris comice ab ipsa pueritia ad usq. senectam, et tumultum deductus. Varsoviae.*” (U Piotra Elerta r. 1644, stron. 4, po łacinie i po polsku. Aktów cztery, in 4to.)

Tu oddają do szkół Bachusa, że ten miasto kałamarza bierze fłaszę, współuczniów spaja; idąc na filozofią na gospodzie pije. Gdy młódz dla rycerskiej sprawy częścią złuków, częścią z pistoletów do celu, Bachus z łuki do kufła zmierza, ale prędzej węć gębą, niżeli strzałą ugadza. Kiedy według zwyczaju szkolnego jeden z młodzi filozofów, drugi krasomówców, poetów wystawia, trzeci, Bachus, naukę picia aż pod niebo wynosi. Niemając pieniędzy, zastawia suknie, i prawie nagi ucztę wyprawia, niechcieś się ze bosy do Kościoła, ale na wino idzie. Radzi się Cyganów o przyszłość; ci wróżą, że choć bezżenny, liczne potomstwo zostawi, nowęj nauki mistrzem będzie, i w starości czopem zabity, poleże. Bachus na dyspacie uwieńczony laurem, gdyż obronił racyami, aby wino nie było wytępione: na katedrze przez woźnego ogłasza, iż o nauce picia będzie mówił. Lichni zbierają się słuchacze; gdy niektórzy nie chcieli zupełnie przystać na jego naukę, częstuje i racy, a wszyscy mu lat setnych życzą. Poczem wedle wczepem przebity, mimo leków, napisawszy testament, przy dzwonieniu szklenicami umiera. grzeb Bachusa, grzebią go w słodzinach, i pi nagrobek.

(Dokończenie nastąpi.)

(1) Koltun.
 (2) Benedyktynów klasztoru na Łysiej górze w sandomierskiem.

(3) Dyke. poetów pol. T. 2.